



ILUSTROWANY



PRZEGLĄD TYGODNIOWY



Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie



Rocznik I.

13. czerwca 1915

Nr. 27.

Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannowego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy

Prenumerata kwartalna . . K 2:50

Prenumerata półroczna . . K 5—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
1/2 strony — 50 kor., 1/4 strony — 25 kor.,
1/8 strony — 12:50 h. i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.

Z tygodnia.

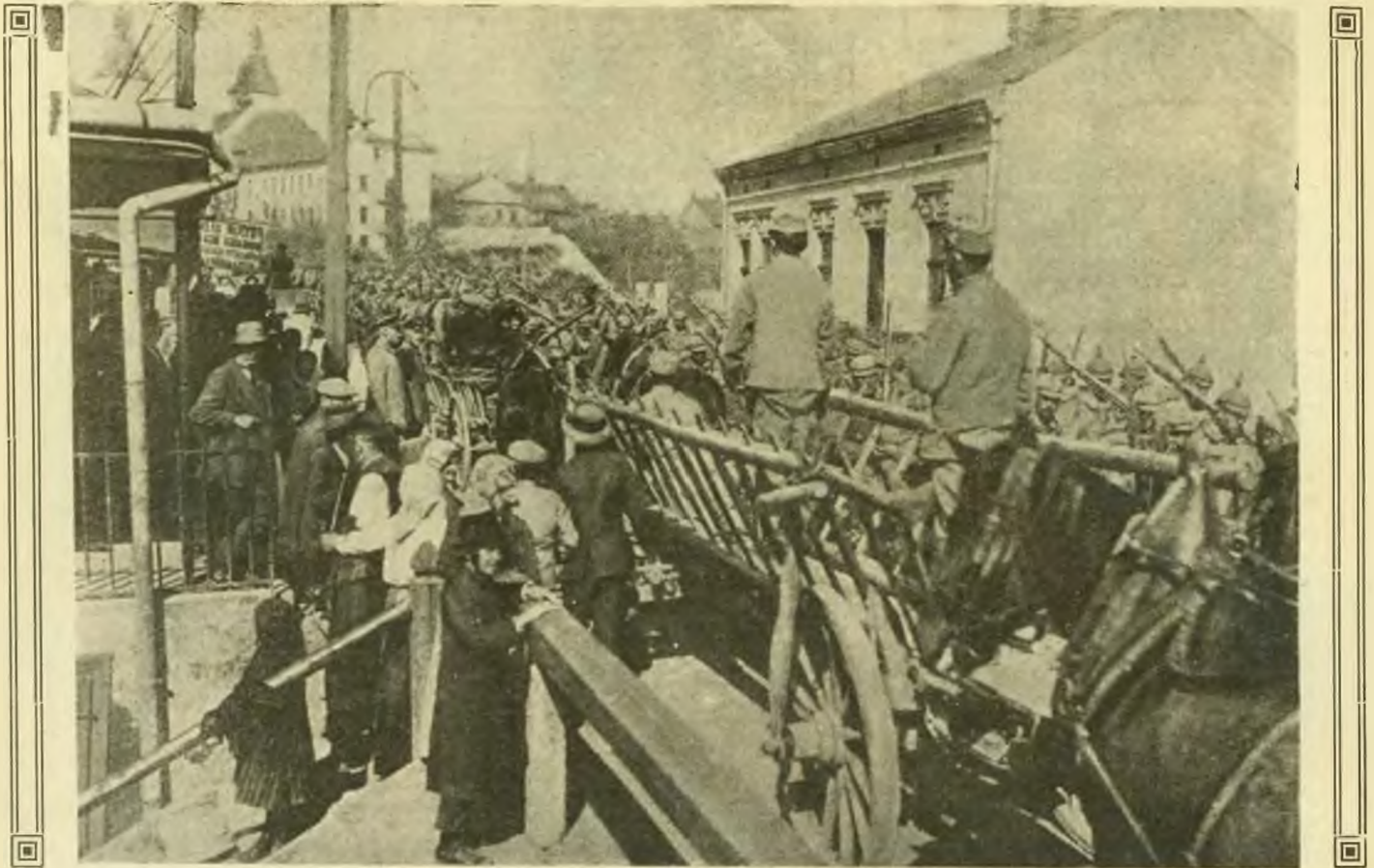
Z ubiegającym tygodniem weszliśmy już w jedenasty miesiąc wojny europejskiej, która od chwili jej wybuchu przybrała jeszcze na rozmiarach, wciągnęła w swe zaczarowane koło krwi i pożogi, nowe narody a zaostrzyła i rozwinęła tyle kwestyi i zagadnień, że zachodzi obawa, iż krąg, jaki zatoczyła i ciągle jeszcze zatacza, bynajmniej się

nie skończył, że może się jeszcze rozszerzyć przez wystąpienie w szranki bojowe nowych narodów, świeżych zastępów bojowników.

Na terenie bojowym jest bezsprzecznie punktem najważniejszym, który stanowić będzie etap w historii obecnej wojny wszechświatowej, fakt zdobycia 3. czerwca rano



Odpooczynek w czasie ćwiczeń pewnej drużyny bartosłowej.



Armia niemiecka Makensena w przemarszu przez Nowy Sącz ku północy.

Przemysła przez zjednoczone wojska niemiecko-austriackie. Przemysł, twierdza broniona — jak wiadomo — przez pięć miesięcy przez przeszło stu tysięczną załogę austriacką przeciw atakom rosyjskim, poddała się wreszcie przed dwoma miesiącami oblegającym ją Rosyanom, gdy już w twierdzy zabrakło żywności i głód zaczynał zaglądać w oczy jej obrońcom. Dowódca załogi przemyskiej, general Kusmanek, przed oddaniem twierdzy wrogowi uczynił — jak wiadomo — wszystko, aby nieprzyjaciel zamiast niezdobyczej fortecy, zajął tylko kupę gruzów. Na rozkaz swej wyższej władzy, gdy już dłużej bronić się nie mógł, powysadzał — jak to swego czasu czytaliśmy w komunikatach głównej kwatery austriackiej — wszystkie forty w powietrze, zapasy amunicji, poniszczył broń a potem dopiero się poddał wraz z całą załogą. Fakt ten widocznie ułatwił obecnie zdobycie Przemysła przez wojska zjednoczone. Wojska rosyjskie nie mając bowiem w zniszczonych przez załogę austriacką fortach Przemysła tego oparcia, jakimi dać mogły forty silnie zbudowane, nie wytrzymały natarcia szturmujących do nich zastępów niemieckich i austriackich. Tak tedy Przemysł znajduje dziś już w naszych rękach. »Posiadanie Przemysła — pisze wojskowy współpracownik »Berl. Tagebl.«, major E. Morath — wiele nie zmieni ani taktycznie ani strategicznie w decyzji, która ma zapasć na terytorium galicyjskiem. Ale upadek Przemysła ma znaczenie siły osłabiającej wolę zwycięstwa u nieprzyjaciół i może oświeci wahające się jeszcze państwa neutralne«.

Tak tedy upadek Przemysła może mieć raczej znaczenie polityczne, aniżeli strategiczne. Rosyane zdobycie twierdzy przemyskiej przez siebie rozstawili po całym świecie jako pierwszorzędną czyn wojenny aż do przesady. Teraz

trudną będzie rzeczą wmówić w opinię publiczną, że wydanie Przemysła po paru dniach oporu — jest tylko drobnośką. Własne ich przechwalstwo najwięcej im teraz zaszkodzi w polityce zagranicznej.

Ubiegający tydzień przyniósł pojedynek stoczony na słowa pomiędzy kierownikiem polityki niemieckiej kancleżem rzeszy, Bethmannem Hollwegiem, a prezesem ministrów włoskich, Salandrą. Pan Bethmann Hollweg stwierdził, że »prawdziwym powodem wojny austriacko-włoskiej była ta okoliczność, iż Sonnino (włoski minister spraw wewnętrznych), wdał się zanadto w obietnice i przyrzeczenia wobec trójporozumienia. Zawiodł zaufanie, złamał przyrzeczenia, dopuścił się zdrady«. Na te zarzuty odpowiedział Salandra w parlamencie włoskim niemniej ostro, starając się wykazać, że Włochy od samego początku chciały przeszkodzić wybuchowi obecnej wojny światowej, lecz bezskutecznie. Swego zdania nigdy nie taily. Na zakończenie stwierdził, że Włochy dlatego zerwały traktat trójprzymierza, ponieważ nie chciały być zależne od Niemiec. Walka ta stoczona w parlamentach na słowa jest niemniej interesującą od walk staczanych na polach bitew i prawdopodobnie czas jeszcze niejedno do tych wywodów mężów stanu dorzuci, i niejedno dotąd nieznanne i niezupełnie zrozumiałe wyświetli.

Niemniej interesującą od tej walki parlamentarnej jest szermierka dyplomatyczna, jaka się obecnie toczy w wymianie not pomiędzy rządem niemieckim a rządem amerykańskim. Rząd niemiecki odpowiedział na notę rządu amerykańskiego, wystosowaną do Niemiec w sprawie zatopienia »Lusitanii« i dwóch parowców amerykańskich »Cushing« i »Gulfliht«. W nocy tej zwała rząd niemiecki winę za zatopienie »Lusitanii« na rząd angielski, ponieważ



Oficerzy 100. pułku piechoty pod Gorlicami.

»Lusitania« wiozła na swym pokładzie wojska kanadyjskie i 5400 pudł z amunicją do Anglii. Poza tem znajdowały się pod pokładem »Lusitanii« armaty. Ostateczne stanowisko co do noty amerykańskiej zarzeczował sobie rząd niemiecki aż do nadejścia odpowiedzi rządu amerykańskiego na notę niemiecką. Odpowiedź ta podobno już została zredagowana. Według doniesienia angielskiej gazety »Central News« rząd amerykański w odpowiedzi swej zwała zupełną odpowiedzialność za zatopienie »Lusitanii« na Niemcy. Rząd amerykański jest zgodny co do tego, że walka niemieckich łodzi podwodnych przeciw osobom prywatnym musi ustać. Dalej rząd amerykański zaprzecza twierdzeniu noty niemieckiej, jakoby »Lusitania« miała być uzbrojoną i powtarza żądania wypowiedziane w pierwszej nocy.

Ile w doniesieniu tem jest prawdy, wykaże tekst noty amerykańskiej, który będzie doręczony rządowi niemieckiemu w Berlinie. Jedno w każdym razie zdaje się być rzeczą pewną, że ta walka papierowa pomiędzy Niemcami a Ameryką epilogu krwawego mieć nie będzie. Bądź co bądź stanowi ona jeden dowód więcej, ile to najróżniejszych zawikłań i zatargów i nie dających się przewidzieć niebezpieczeństw kryje w sobie wojna obecna.

Tymczasem armie sprzymierzone po zdobyciu Przemysła prą zwycięsko ku wschodowi i północy, przekroczywszy już lewą brzeg Dniestru. Masowe poddawanie się Rosyan świadczy o rozstroju moralnym ich wojsk lub o zupełnem zmęczeniu. Jeżeli na widownię bojową w Galicyi nie potrafią Rosyanie w najbliższych dniach wyprowadzić większej pomocy, w takim razie nie wytrzymają napieru naszych wojsk i do tygodnia opuścić muszą całą

wschodnią Galicyę i Bukowinę, gdzie się tak po swojemu już zagospodarowali.

Chwili tej wyczekuje naród polski z utęsknieniem na uchodźctwie, rwiąc się do pracy na ojczystym zagonie i w ojczystej chacie, choćby obdartej przez wojnę do gołych ścian, a choćby — i bez chaty.

Z umarłego miasta.

(Koresp. własna).

Jedziemy bryczką ku Gorlicom. Po drodze mnóstwo uniformów niemieckich. Dopędzamy oddział maszerujący. Zdaleka dostrzedz można było, że ci żołnierze są mocno znuzeni; ich pochylone, milczące postacie posuwały się wolno w przód. Gdy zrównaliśmy się z nimi, po twarzach żołnierzy przeleciał jakiś duch ożywczy, jak gdyby ktoś wylał na nich nagle wielki bukiet energii. Wyciągnęli się, jak struny, szybko poprawiali rozluźnione kolnierze i zaśpiewali jakąś gromką pieśń niemiecką. W oczach ich, z ukosa spoglądających na jadących pasażerów malowało się, jak gdyby lekceważenie. Poważne ich twarze, długie brody czyniły wrażenie, że ma się przed sobą doświadczonych synów Marsa. Minęliśmy ich i zaraz też zgasła ich pieśń, jak gaśnie promień, chciwie pożerając garstkę porzuconej słomy.

Wszędzie dokoła rowy strzeleckie szarymi odcinkami linii rysują się na tle pól zielonych. — Tu i ówdzie leżą potrzaskane kola, części wozów, zniszczone, zdruzgotane karabiny. Nicdaleko drogi, nad dawno zapewne padłym koniem zertują z wrzaskiem wrony, obnażając co raz bardziej przęty żeber. — Domu całego prawie niema; mijamy zwę-



Patrol bersaglierów, czyli wyborowych strzelców włoskich.



Kawalerzysta włoski w szarym uniformie, dla długiej lancy "zwany „lancistą“.

glone szczątki jakichś zabudowań; czuć jeszcze niejako swęd, spaleniznę. Gdzie rzucisz okiem — krzyże i krzyże mogilne.

Dosięgliśmy cełu. Gorlice, w których mamy się zatrzymać pięć dni. Miasto umarłych; ruina i pustka. Wjeżdżamy na rynek; na całej jego przestrzeni płaczą się, jak cienie zaledwie trzy osoby, z pod oka spoglądające na przybyszów. — Gruz, rumowisko, wycierające z niego gdzieś niedziedzię balki potrzaskane, okna bez szyb w ocalałych domach, jakąś rozpaczliwą pustką wiejące, to wszystko, co oko w pierwszej chwili uderzy.

Pochwyciliśmy jakiegoś jegomościa, sprowadzając rozmowę na czasy inwazyi. Okazało się, że to właściciel ziemski. — Ciekawe opowiadał rzeczy, dotyczące zachowania się żołnierzy rosyjskich. Raz przyszli do niego urządzać rzekomą rewizję, zakończoną wyprowadzeniem koni ze stajni. Właściciel, w obawie o dalsze losy ostatniej pary swych ulubieńców, dał żołnierzom po rublu, co magicznie podziało na wykonawców owej rewizyi; z poklonami i dziękczynieniem oddalili się, wprowadzając poprzednio na dawne miejsce zagrożone konie. — Nie skończyło się to jednak na kilku rublach. Żołnierze ci powiadomili zapewne o swem odkryciu kolegów, gdyż od tego czasu zjawiały się coraz to inne indywidua, eksploatujące po wyższym sposobem szczęśliwego posiadacza pary koni.

W czasie rozmowy z owym jegomościem zbliżył się do nas zwolna, jakby z niedowierzaniem, kłaniając się z daleka z przesadną uniżonością szczupły żydek i wyciągnąwszy z chałatu jakieś pudełko, mówił półgłosem: »Może panowie pozwolić papierosów, — ostatnie pięć sztuk, — uratowanych przed takowymi Moskalami; — jak Boga kocham, panowie, ostatnie pięć sztuk, — proszę, — dziesięć halerzy sztuka.«

Zwabieni sławną historią owych papierosów, kupiliśmy je. Żydek, widząc, że placimy, z chytrym uśmiechem sięgnął gdzieś w niezgłębione skrytki chałatu, specjalnym ruchem, dającym się obserwować tylko u narodu wybrancgo i prze naszymi zdumionemi oczyma otworzył nowe pudełko, obecnie z setką świeczkowych papierosów, mówiąc: »Jak Boga kocham — panowie, ostatnie papierosy — dziesięć halerzy sztuka«. — Zdumiony zostałem tą bezczelnością żyda, ale musiałem też podziwiać jego spryt, z jakim badał kieszenie i dobrą wolę przybyszów, używając jako wędki stalowego pudełka z pięcioma uratowanymi papierosami.

I od niego dowiedzieliśmy się coś o Moskalach. Otóż, ten mały żydek, w własnej osobie dostał się w ich ręce, za to, że nie w odpowiedniej porze zjawił się na ulicy. Wprowadzono go do jakiegoś budynku, gdzie znajdowali się żołnierze, pełniący wartę. Każdy z nich, idąc i wracając z owej warty, tak sobie »z dobrej woli«, jak nas opowiadający zapewniał, wymierzał mu dwadzieścia pięć nahałek. — Żydek, chcąc zapewnić nas o prawdziwości słów, odwijał rękawy i rozpinął szaty, wskazując na liczne, sine pręgi.

Zbliżał się wieczór; trzeba było zakrzętnąć się za pomieszkanicem. Udałem się z towarzyszem w boczną ulicę. Wszędzie ruina; doły piwniczne patrzą pustymi oczodolami cyklopa; splekane, pochyłone ściany cudem, zdaje się, stoją jeszcze. Tu, przez środek budynku jakiś straszliwy pocisk wydarł wąskie przejście, rozcinając mury od dachu po fundamenta, jakby siekierą olbrzyma; tam znów granat, nie szanując tajemnic, odwalil jedną ścianę mieszkania, ukazując wnętrze pokoju. Pierwszy rzut oka pada na mile kolory tapet, przechodzących na przelomie ściany w długie pręty poszarpanej plecionki trzciniowej, oblepionej



Odnaczenie pułkownika Latinika przez brygadycra v. Metz 100. pułku piechoty.

jeszcze gdzieniegdzie gruzem. — Ulice i podwórza zryte granatami. Z nor podziemnych i piwnic wylażą lęklive postacie, by znów zniknąć za jakim odłamem muru. — Przechodziliśmy wolno, obserwując straszne zniszczenie. Zdaje się niemożliwą rzeczą, by to miasto, nie dawno tak miłe sprawiąjące wrażenie do tego stopnia mogło stać się ruiną i pustką. Ma się wrażenie, że jakiś hufiec cyklopów-rycerzy na olbrzymich koniach przeleciał huraganem tędy i porozstrzątał tę osadę ludzką, jak mrowisko lub domki z piasku. I widzisz ogromne dziury powyrywane potężnymi kopytami rozpętanych rumaków. Wzrok biegnie gdzieś w przestrzeń, w pogoni za tym straszonym hucem, rycerzy zakonu śmierci, gdyż zdaje się, że dopiero co przelecieli tędy, że jeszcze ziemia dudni pod kopytami koni—tytanów.

Błądziliśmy, oglądając zniszczenie, gdy wtem jakiś potężny huk rozległ się w pobliżu. Spoglądaliśmy na siebie, nie wiedząc, co to znaczy. Po chwili przebiegl przed nami może dziesięcioletni chłopak i obwiązując chustką silnie krwawiącą rękę, wpadł do obok stojącego domu. Weszliśmy za nim. Pokazywał rękę jakiejś kobiecie, mówiąc spokojnie. Bomba urwała mi dwa palce, ale już zawiązałem rękę. — Dwa palce — rzekła kobieta — biednyś; chodź, napij się herbaty. — Wyszliśmy, nie rozumiejąc spokojnego tonu rozmowy tych dwojga. — Dowiedzieliśmy się potem, że często tu wybuchają pozakładane przez Moskali miny.

Znaleźliśmy się na drodze, wiodącej do parku. Tu stoi jeszcze szereg domków prawie że nie uszkodzonych. W jednym z okien, ze zdumieniem, nie mniejszem, jak to, z którym spoglądaliśmy na motywy, świadczące o piekielnej sile posików, spostrzegliśmy — ni mniej, ni więcej, tylko — małą malpkę (proszę tłómaczyć dosłownie), zajądającą coś łapczywie, która mróz z nieprawdopodobną kokieteryą oczka, przyglądała nam się z ciekawością. Mimowoli

uśmiechnąłem się. Zachęcająca ta malpka — mówił mój towarzysz — chodźmy zapytać o mieszkanie.

Pukamy do drzwi. Prześliczna, jak majowy poranek panna, z czarującym uśmiechem zaprasza nas do środka; właścicielka owej malpki. Zauważyła zdaje się, jak podziwialiśmy jej ulubienicę i dlatego zapewne tak promiennym darzyła nas uśmiechem. Znaleźliśmy się w bardzo przyzwoitym pokoju, gdzie przedstawiliśmy się mamusi owej królewnej martwego miasta i gdzie wyluszczywszy właściwy powód swej wizyty, znaleźliśmy wygodne kwatery. Tu słuchaliśmy — nie przerywając ni słowem — opowiadania z czasów inwazyi, opowiadania bez końca.

Dowiedzieliśmy się, że owa miluchna paniuszka przez cały czas nie opuszczała Gorlic. Przemieszkiwała wraz z mamusią w piwnicy i przyzwyczała się do huku armat, tak, że nie mącił jej on wcale snu. Raz — opowiadała — gdy z powodu bólu zębów spać nie mogła, liczyłam dla skrócenia czasu wystrzały merserów, bo trzeba panom wiedzieć rozróżniam bardzo dokładnie strzały każdego kalibru armat. Naliczyłam dwadzieścia i jeden; wtedy ocknęła się mama i sennym głosem mówiła: »Władziu, zdaje mi się, że strzelają«. Nie miałam czasu odpowiedzieć, gdyż mamusia usnęła na nowo.

Nie wierzyłem uszom, patrząc na tę nikłą dziewczynkę, z takim spokojem opowiadającą swoje przejścia. Zauważyła, zdaje się, to niedowierzanie i wybiegła do drugiego pokoju, ukazując się za chwilę w progu, z karabinem rosyjskim przy oku, skierowanym do mnie. Oglądaliśmy trofea wojenne małej bohaterki, podczas gdy ona, z minką, w której rzeczywiście malował się żal szczery, mówiła: — Szkoda, że nie mamy fotografii swej, zdjętej na naszym podwórzu, przy dole wyrwanym granatem. Dziś on tylko został, ale podczas zdjęcia leżały tu cztery rosyjskie trupy, rozdarte właśnie pociskiem owego granatu. Proszę sobie



Z walk w Karpatach.

Austriacki posterunek obserwacyjny w Karpatach.

wyobrazić, co za oryginalne zdjęcie. Cóż, kiedy ostatnie zabrał mi jakiś oficer artylerii, bawiący u nas na kwaterze. Przysięgam, że nie wierzyłem wprost, że to rzeczywistość. To dziecko, jasne, jak chmurka wiosenna, rozprawiające z żalem o zabranej fotografii swej, na tle porozdzieranych trupów i zapewniające nas o oryginalności zdjęcia. — Wyszła zanieść karabin na dawne swe miejsce, a podczas jej nieobecności towarzysz mój mruczał coś pod nosem o straszliwym zdziczeniu obyczajów.

Zostaliśmy zaproszeni na kolację, powiedziałbym wcale porządną, a biorąc pod uwagę obecne stosunki, nawet wykwinną. Podczas kolacji znowu dalszy ciąg opowiadań. Rzuciłem pytanie: Jak radziliście sobie państwo, gdy przyszli rabować żołnierze? — Jeden rubel zawracał ich od drzwi, odchodzili, całując mnie po rękach — mówiła matka. Raz skarżyłam się oficerowi na częste nachodzenie żołnierzy. Odszedł spokojnie — przecież pani nic nie zrobili złego. — Tu, obok — rzekłam do niego, wymordowali całą rodzinę. — Przecież to byli »Jewrej« (Żydzi) — odpowiedział z takim zdumieniem, jakby mu ktoś zaprzeczał ów pewnik matematyczny, że dwa razy dwa — jest cztery.

Nocą wyszliśmy z moim towarzyszem w miasto. Cudna, księżycowa noc. Cienie poszarpanych murów, przeskakując przez dziury, powyrywane granatami i doły piwniczne w potworne lamaly się kształty. Z olbrzymiego jakiegoś budynku pozostał tylko szkielet, świecący w świetle księżyca szeregami poprzecznych ścian, jakby nagimi żebrami. Gdzie skierowaliśmy kroki — ruina i pustka — nie spotkaliśmy nikogo. Niektóre sceny przypominały ruiny »Wiecznego miasta«. Księżyc, operujący tak potężnie świa-

łem i cieniem wśród potrzaskanych, zwalonych murów, bezgraniczna cisza, sprawiły, że szliśmy możliwie najciszej i wkońcu bezwiednie przystanęli w jakimś podwórzu zwalonego budynku. Wtedy półszepcem wymówiłem, mimowoli cisnące się na usta słowa Korneli, rzucone na tle ruin Romy, wśród pyłów sławy i rozsypanych pomników cesarów świata: — »Idź na północ, na ziemie mogił i krzyżów; poznasz je po milczeniu, po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców«.

Józef Gałuszka.

Z CYKLU: WOJNA.

Na polu chwały.

Strumieniem płynie krew. — Przez zwaly trupów, przez stosy ciał cień się jakiś skrada.

Ktoś ty ducha? Widzę cię ciągle. Za tobą, przed tobą, wokół ciebie ogień, śmierć i zagłada.

Przeciągły wiatr szumi w przestworzach, spada w dół, wciska się między zdruzgotane wazy i szczątki armat i poncsi je ze sobą, hen, w świat...

Ktoś ty?... Z rozwianym włosom pędzisz w dal, na nic nie zważasz. Tysiące matek wyciąga dłonie ku tobie, tysiące sierót zmiłowania woła...

— Ulituj się doli naszej!...

* * *

Pole zasłane trupami. Cicha bezgwiazdna noc.

Pod wzgórkim, przy kępie drzew postać kłęczą niewieścia. Twarz blada, cczy zapadłe, wyplakane, to — matka.

Szeptem płyną słowa modlitwy. Oto już cały chór matczynych głosów wzbija się ku niebu...

— Zmiłowanie zeslij nam!...



Posterunek graniczny w Szwajcaryi na skalnym cyplu.

I idą te głosy z tysiąca piersi, płyną tam w górę, choć niezawsze posłuchanie znajdują...

Bo wielki jest gwar bitwy, a niebo dymem z wsi i miast okryte...

* * *

Wśród stosu trupów coś się ruszyło. Jęk prze-
rażliwy przeciął powietrze.

— Ulży cierpieniom, dobij, dobij!...

Zaszumiły wkoło liście drzew, a echo powtórzyło:

— Dobij, do-
bij... — Cisza.

Wśród stosu trupów już się nic nie rusza. Na niebo wypłynął srebrzysty księżyc. Sine światło falistą wstęgą rozlało się po polu. Otogdzieś w dali bór śpiewa pieśń swoją wieczorną...

— Błogosławion bądź Boże wielki!

— Korzyny się przed potęgą Twoją my stare dęby i buki...

— Choć ciała nasze kulami prze-
szyte, choć krew się tu wkoło nas leje, my nie upadniemy...

— Dużo widzieliśmy w życiu wojen a oto teraz najcięższa się toczy...

— Dziej się woła Twoja Panie.

— My w pokorze schylamy głowę.. I szumią wierzchołki drzew jakąś opowieść o wielkiej wojnie i szepcą między sobą ich konary:

— To straszne, to straszne...

A wykrzywione i zastygłe w bólu twarze poległych szklistymi oczyma patrzą w otchłań niebieską, skąd idzie jakaś dziwna, tajemnicza pieśń...

To chóry aniołów modlą się za dusze poległych...

Wiedeń, w maju 1915.

M. F.

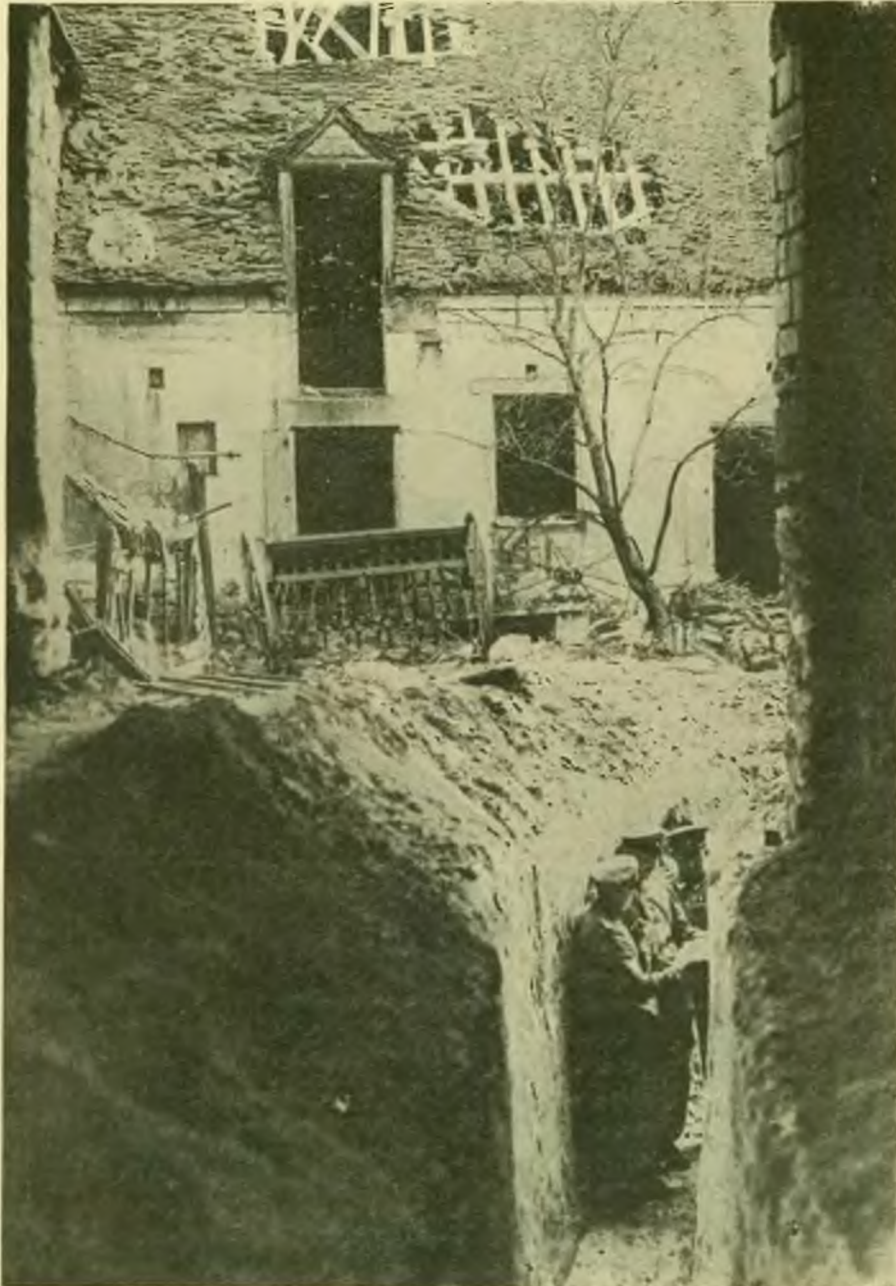
Drobne wiadomości.

Historia materii wybuchowych. Ogromne znaczenie materii wybuchowych, nigdy może dotychczas

nie stało się tak dobitnie jasnym, jak w obecnej wojnie. Jeżeli dzisiaj niema wogóle twierdz niezdobytch jeżeli największe okręty niszczymy bardzo łatwo torpedą, na wylot przebijamy olbrzymie skały lub wysadzamy je w powietrze, a góry przenosimy z miejsca na miejsce, to jest to tylko możliwe przy pomocy nadludzkiej siły — dzięki rozwojowi i postępowi chemii — skoncentrowanej w nieznacznej ilości materii wybuchowej, która pozornie jak okielzany tytan zachowuje się spokojnie, a dopiero w chwili zwolnienia więzów, wybuha.

Aż do wieku 19. używano jednej tylko materii wybuchowej, prochu strzelniczego, mieszaniny węgla, siarki i saletry.

Mieszanina ta — jak twierdzi autor „Romantik der Chemie“ — znana już była podobno Hannibalowi, pewną jednak jest rzeczą, że niejasne słowo „acetum“, którym — podaje Livius — Hannibal rozsądzał skały tamujące mu drogę, oznacza podobną do prochu strzelniczego materię wybuchową, a nie jak twierdzili filologowie „ocet“. Kiedy z początku 19. wieku chemia poczęła się rozwijać, wzrosła nie tylko ilość materii wybuchowych, ale także wzmógł się zakres działania i siła. We wszystkich wybitną część składową stanowił kwas saletrowy siarczany. Dość wymienić najważniejsze, jak bawełna strzelnicza, dynamit, pikryn i wybuchową żelatynę. Bawełna strzelnicza jest dzisiaj



Zręcznie urządzone francuski rów strzelecki, z którego oficer mógł obserwować pozycje niemieckie i stąd kierować całą akcją przeciw nim.

główną częścią składową prochu bezdymnego, a dynamitu i żelatyny wybuchowej używa się do prac technicznych wszelkiego rodzaju, pikryn służy do wyrobu melinitu, a angielski lidyt nie jest niczym innym, jak przetopionym kwasem pikrynowym. Wszystkie te materie powstają skutkiem działania kwasu saletrowego, nie eksplodują same z siebie, wyglądają „nie winnie“: bawełna, gliceryna lub fenol,



Zburzony i na nowo naprawiony most koło Reimów na torze Sedan—Reims.

zwany także kwasem karbolowym. Tutaj sprawdzają się słowa poety: „W łączności nawet słabi stają się mocą!” W ten sposób kwas saletrowy zamienia bawełnę na bawełnę strzelniczą, glicerynę na nitroglicerynę, kwas karbolowy na pikryn. Nitrogliceryna, ciecz oleista, koloru żółto-brunatnego nie może być używana w swej płynnej formie, a to z powodu niemożliwej do opanowania i niezmiernie potężnej siły wybuchowej; poprzednio musi być wchłonięta w krzemionkę lub ziemię i w tej postaci, odkrytej przez Alfreda Nobla nazywa się dynamitem.

Mało zapewne ludzi wie, że dynamit zawdzięcza swe od krycie przypadkowi. Już od roku 1863 mozołił się Nobel rad zamienieniem nitrogliceryny w ciało stałe. Długo nie prowadziły do celu wszelkie usiłowania, aż dopiero pomyslny wynik sprowadził przy padek.

W roku 1866 w laboratorium Nobla wyciekło nieco nitrogliceryny z nieszczelnie zamkniętego naczynia. Wylana ciecz wsiąkała w ziemię, służącą do opakowania i zabezpieczenia naczyni nitrogliceryną i Nobel, który to zauważył i zbadał, dostrzegł, że przepojona nitrogliceryną ziemia posiada własności wybuchowe. Od dalszych prób i doświadczeń powstał dynamit.

idące przez cały metal, ale w ten sposób, że brzegi nacięć szczelnie przylegają. Działanie tych nacęć, które można robić w różnych formach, objawia się przez to, że osłabiają one płaszcz, ale metal nie spada i zakrywa dalej rdzeń kuli. Kula działa podobnie jak zwykłe pociski o miękkim nosie, gdyż płaszcz kuli otwiera się w ciele jak parasol”.

Podziw tylko zbiera, jak można pisać z zimną krwią takie okropne rzeczy o swoim wynalazku. Pewien major niemiecki, walczący na froncie rosyjskim, ta'cie



Austryacki aparat do rzucania bomb.

Patent na kule dum-dum. Niemieckie dzienniki podają do wiadomości, że z końcem zeszłego roku amerykański urząd patentowy dał pewnemu wynalazcy patent na kule dum-dum.

— Według „Illinois - Staats - Zeitung”, wynalazca, który, ów patent sprzedał towarzystwu „Union Metallic Cartridge Co., Bridgeport Conn.”, zachwala swój wynalazek w następujący sposób: „Mój pocisk ma wszystkie przymioty kuli płaszczowej, lecz przy uderzeniu przybiera kształt grzyba, to znaczy, rozplaszczają się. Ten rezultat osiągnąłem, robiąc na końcu płaszcz nacięcia,

czyni uwagi w „Local-Anzeige-rze“ o tym pomysśle amerykańskim: „Miałem sposobność wypróbować działanie tak samo skonstruowanych niemieckich pocisków. Podczas gdy żołnierz potrzebuje kuli, która ma przeciwnika tylko uczynić niezdolnym do boju, a nie zabić, myśliwcy chętnie używają kuli, która by zwierzę o ile możliwości prędko zabiła, lub ciężko zraniła, n. p. przy polowaniach na dzikie zwierzęta. O ten pocisk, o którym mówię nadaje się zupełnie do tych celów myśliwskich. Mimo to w Niemczech wcale się go nie używa, ponieważ jest za okrutny. Ja sam raz strzelałem nim do kozłów, jedynie aby wypróbować jego działanie. Podczas gdy, wlot postrzału (Einschuss) odpowiadał kalibrowi kuli, wylot (Ausschuss) miał szerokość większą, niż szerokość dłoni. Spustoszenia, jakie sprawia kula, są wywoływane przez to, że nacięty kapiszon kuli przy uderzeniu pęka, rozszerza się w formie talerza i swoimi ostrymi zębami rozdziera



Rozbita artyleria. — Chorąży Sivvind, obrońca pułkowego sztandaru.

i rozszarpuje wszystkie części ciała, przylegające do kanału postrzałowego tak, że rana jest bardzo wielka. Kapiszon sam w większości wypadków nie pozostaje na główce ołowianej jakby to wynikało z rysunku dołączonego do patronu, lecz dostawszy się do rany, odrywa się od ołowiu i sam łobii sobie osobną niszczącą drogę. I pocisk ten, którego nawet w myślistwie zastosować nie chciano, teraz miałby użyty być przeciw ludziom!

i rozszarpuje wszystkie części ciała, przylegające do kanału postrzałowego tak, że rana jest bardzo wielka. Kapiszon sam w większości wypadków nie pozostaje na główce ołowianej jakby to wynikało z rysunku dołączonego do patronu, lecz dostawszy się do rany, odrywa się od ołowiu i sam łobii sobie osobną niszczącą drogę. I pocisk ten, którego nawet w myślistwie zastosować nie chciano, teraz miałby użyty być przeciw ludziom!



Z walk w Galicyi

Przewożenie ciężkiego moździerza austriackiego na pozycję.

Półwysep Gallipoli. Toczące się obecne krwawe walki na półwyspie Gallipoli, gdzie francuzi i Anglicy wylądowali całą armję, zwróciły uwagę na ten wąski pas ziem, ciągnący się między morzem Egejskim a cieśniną dardaneelską. Mówimy na nowo, gdyż jest to ziemia wysoce historyczna od czasów starożytności klasycznej, ten tracki dawniej Chersonesos, gdzie władał ongi Miltiades ateński. Na niej rozgrywały się wielokrotnie b. twy dziejowego znaczenia. Na Gallipolis wkroczył, przez cieśninę przeszedłszy na czele swych wojsk. Kserkses, z Gallipoli Aleksander Macedoński wyruszył na podbój Azji, na Gallipoli wkroczyli Turcy gdy ruszyli na zawojowanie Europy.

Tu leży Sestos, skąd, wedle greckiej jegiendy, Hera co noc rozświecała latarnię, aby mógł bystry prąd cieśniny przepłynąć Leander; na miejscu Sestos leży obecnie mała wioska turecka. Za dardanelami wznosi się biała skała na której wznosi się ma grób Hekuby.

Na Gallipoli znajduje się kilka miast. Nad małą zatoką leży, kilkakrotnie już wymieniane w komunikatach Midos, greckie Madytosz portem na wschód od Midos leży główne miasto półwysep Gallipoli, od pięknego położenia swego tak nazwane (Kallipolis), pierwsze miasto, które ongi turcy obsadzili na ziemi europejskiej. W r. 1854 wylądowali w niem Angliki i Francuzi podczas wojny krymskiej. Dziś jest zupełnie zaniedbane, ma 30.000 mieszkańców, Greków, Turków, Ormian i Żydów.

Śmiertelna próba. Bardzo wiele wypadków wśród automobilistów w czasie wojny wywołują druty, przeciągnięte przez nieprzyjaciela w poprzek, w pewnej wysokości ponad drogą, w ten sposób, iż jakby nożem odcinają głowy przejeżdżających. Niektóre państwa starają się przeszkodzić tego rodzaju wypadkom, umie-



Zamek Beregvar koło Munkacz, obecnie sanatorium dla oficerów niemieckiej armii południowej.



Z terenu Królestwa Polskiego.

Straż niemiecka przed wejściem do klasztoru jasnogórskiego w Częstochowie.

szczając na automobilach specjalne sztaby ochronne, mechanicznie przecinające druty, bez żadnej szkody dla jadących. Jak zawsze jednak, tak i tutaj często środki ochronne zawodziły i od czasu do czasu kronika podaje opis podobnych katastrof. Skutkiem tego fachowcy niezmiernie pracują nad znalezieniem środka, któryby niezawodnie bronił przed wypadkami.

Przed niedawnym czasem inżynier rumuński Ernest Gyziak wymyślił podobny aparat, służący do mechanicznego zrywania drutów i zwrócił się do ministerium wojny w Bukareszcie z projektem przyjęcia go do rumuńskiego korpusu automobilowego. Projekt przyjęto, równocześnie jednak dla ostatecznego wypróbowania wynalazku, urządzono popis, który odbył się w obecności reprezen-

tantów ministerium, wojskowości, przedstawicieli korpusu automobilowego i fachowych rzeczoznawców. Kilka pierwszych prób udało się doskonale, przy ostatecznej jednak aparatura zawiódł i drut w jednej chwili w oczach zebranych odciął głowę inżynierowi Gyryakowi i prowadzącemu pojazd szoferowi. Automobil pozbawiony kierownictwa, pędził dalej i po przebyciu kilometra rozbił się o przydrożne drzewa.

Zbiorowa konfiskata willi d'Este w Tivoli. Dzienniki berlińskie przyniosą kilka interesujących szczegółów o konfiskacie słynnej willi arcyksięcia Este w miasteczku Tivoli pod Rzymem, o której już donieśliśmy. Konfiskata czy też przewłaszczenie odbyło się urczyście — w święto. W akcie tym wzięła udział cała ludność Tivoli, a wszyscy dorośli obywatele gminy podpisali akt, stwierdzający „prawne” przejście willi na własność miasta, sporządzony przez notariusza Cricchi.



Po zdobyciu Gorlic. Zbiórka wojsk celem ścigania uciekającego nieprzyjaciela.

Na starym gruncie.

Powieść

przez

3)

M. Febroniusza

Miała to być wręczona mu wypłata posagu matki, z którego ojciec nie chciał wziąć nic, nawet należącej mu się części prawnej. Oddawał przytem synowi i to, coby mu przypadło po jego śmierci, jako sukcesya z tego przecież tylko majątku, jaki on niegdyś otrzymał po rodzicach swoich — ale na tem był koniec. Dorobek jego do niego należał i miał prawo nim rozporządzać. Jak zaś rozrządzi?... nie pisał synowi, ani ów jego pełnomocnik mecenas nie powiedział mu tego. Ojciec żądał od syna, aby, jeżeli na układ przystanie, skwitował go z odbioru pieniędzy, które przynosily nawet prawnie wymagalną część spadku, jaki kiedyś byłby przypadł na niego po śmierci ojca. Mecenas mu to wykazał dowodnie, bo przedstawił mu wykaz hipoteczny Starej Wsi z przyległościami Borki i Klamy.

— Ojciec twój p. Stanisławie, mógłby być jakim kruczym prawnym, sprzedaż symulacyjną, naprzykład, mnią, osiągnąć ten sam skutek — tłumaczył mecenas — ale nie chciał. Całe życie uczciwy, uczciwie też i otwarcie chciał postąpić z tobą, abyś wiedział, jaki jest i może być w przyszłości twój majątek... Potrzebne to jest człowiekowi do rozsądnego układu życia.

Stanisław, choć silnie rażony w serce, nie przez samą stratę majątkową, jaką był ten wymagany przez ojca układ, przystał na niego natychmiast. Ledwo mecenas rzecz mu wyluszczył i nawet zanim dokończył, on rzekł spokojnie i dumnie:

— Dobrze...

Wyciągnął rękę do pióra, tkwiącego w kalamarzu, aby natychmiast podpisać ugodę, która była skwitowaniem go z reszty fortuny ojcowskiej: chciał to zrobić nawet bez spojrzenia na papiery, wykazujące mu, że zasada prawna nie była tu naruszona. Zarzucano mu słabość charakteru i tak było rzeczywiście; dowodziła tego rzecz, która sprowadziła ostatecznie całą tę sprawę: znaczna przegrana kilkudziesięciu tysięcy złotych, o której wieść gruchnęła dwa tygodnie temu po Warszawie, skandalizując ją. Słabym był niewątpliwie, ale mimo tego tak dumny, że to stawało się w nim natychmiast siłą, gdy upokorzenie jakieś dotykało go.

Teraz uczył się nie tylko upokorzonym: zjął go żal — ciężki, bolesny żal takiego odrzucenia przez ojca, przecież duma kazała mu przedewszystkiem szukać pióra i papieru. Chodziło tu o pieniądze, więc nie chciał, aby padł na niego choć cień podejrzenia, że się waha, ociąga, że może chciałby ojca przebłagać i wymóżyć zmianę postanowienia.

Ale mecenas nie pozwolił na tak pośpieszne działanie. Ten człowiek, natura niepospolita, wysoka i pod pewnym względem tak dumna, jak Stanisław — ten człowiek zrozumiał to drgnięcie serca w młodzieńcu i nie dotknął go domysłem, który mógłby być nasunąć się komu innemu, że Stanisław tak chętnie i lekkomyślnie śpieszy się po pieniądze, aby miał o czem grać dalej. Gracze dochodzą do takiego namiętnego oblędu, do takiego chciwego spodlenia, ale Stanisław nie liczył się jeszcze do nich. Czas jakiś po przybyciu do Warszawy trzymał się nawet dobrze; odszukał dawnych kolegów, trochę nawet wyspowiadał im się z przeszłości i życie zaczął wieść wcale porządne, w czem ów mecenas, przyjaciel ojca, o którym można jeszcze było powiedzieć, że jest przyjacielem wszystkiej młodzieży, garnącej się do rzeczy uczciwych — dopomógł mu niemało. Odstąpił mu na początek sprawy, która dla swoich względów moralnych, mogła młodzieńca zająć, rozgrzać, zapalić

do obranego zawodu, zrobić mu przytem zaraz na wstępie dobrą opinią u ludzi. Tak się też stało. Stanisław wypracował i prowadził obronę świetnie, sprawę wygrał, a korzyścią było tu nietylko to, że go ludzie poznali zaraz ze stroju, która mu ich jedna, ale że i on uczył się na drodze dobrej pracy. W głębi duszy był trochę poetą, stawał się wymownym, gdy mu coś pierś podnosiło, a mogąc przy swoim położeniu majątkowym wybierać między sprawami, widział przed sobą zawód szlachetny, którego przecież nie myślał uczynić zawodem całego życia. Gdy zda i ojcu, i sobie dobry egzamin, że nie jest przecież wcale nic niewartym człowiekiem, mając z jakie trzydzieści parę lat, czyżby nie mógł wrócić do domu? Ojciec będzie już starszym, i stanie mu do pomocy, a potem — potem ożeni się.

Miał w życiu niejedną miłość lekką, ale nie kochał nigdy prawdziwie, głęboko. Zachowywał sobie serce na czas powrotu do kraju, teraz powiedział sobie, że zachowa je do powrotu na wieś. Wiejska panna... kobieta podobna do jego matki... W samotnem swem eleganckiem mieszkanie kawalerskiem przy Placu Teatralnym, marzył niekiedy o tem. Jaką będzie? Czasem sam śmiał się z siebie, łapiąc się na wyborze koloru oczu tej przyszłej swej bogdanki.

Może byloby tak poszło wszystko, jak roił, gdyby nie zbieg okoliczności — nieszczęśliwy, jak sobie mówił. Do Warszawy przyjechał pewien znajomy mu z czasów zagranicznej hulatyki panicz; spotkali się przypadkiem i ten człowiek, który był nietylko letkiewiczem, ale nie posiadał żadnego moralnego gruntu, wszył mu się w kołnierz jak zły duch. — Staś! kochany Staś!... stał się jego lupem. Pchnął go między różne znajomości swoje, pociągał na drogi, którymi sam chodził — pociągnął do kart, których Stanisław nie dotknął od przyjazdu do kraju. Raz wieczorem naszedł go z trójką takich, jak on sam nic wartych synków obywatelskich, rozbijających się po bruku warszawskim. Stanisław miał nawet tego dnia bardzo pilną robotę: obronę sprawy ubogiej szlachcianki z jego stron, która mu ją oddawała, płacząc. Miała kilkoro dzieci i mająteczek małeńki; Stanisław chciał się tem zająć, jakgdyby to była jakaś rzecz rodzinna, sercu jego bliska; ale wałęsający się próżniacy naszli go, napadli i prawie z gwałtem do kart zasadzili. — Przyszliśmy do ciebie na partyjkę — zaczął wódz tego zgromadzenia. — Ułożyliśmy sobie, że będziemy w kolejkę bywać u siebie. Trzeba cię rozruszać i dlatego od ciebie robimy początek...

Stanisław nie miał zbyt wesołej miny, p. Ksawery to poznał i zapobiegł temu, aby Stanisław nie chciał się wymawiać. — Nie róbże się mółem, który tylko w papierach siedzi — zawołał. Czyż potrzebujesz być takim gryzi-piórkiem?...

— Mam rzeczywiście dziś trochę roboty... — odparł Stanisław; ale kochany przyjaciel już go nie myślał wypuścić z rąk. Stolika do kart nie było w całym mieszkaniu. Pan Ksawery, który gospodarował, jak u siebie, śmiejąc się, wyciągnął z kancelaryi dependentów jakiś stoliczek, nakręty zielonym sukniem, i grano na nim do świtu. Stanisław, na nieszczęście, wygrał, i dość dużo, musiał więc obiecać rewanż i musiał go potem dać.

Kiedy sprawa wdowy była wnoszoną, Stanisław blady, jak cień i z oczyma podsiniałemi, jak gdyby je ktoś popodbijał, pił w swoim gabinecie, w szlafroku, herbatę z cytryną. Skoro go opuściła hultajska trójka p. Ksawerego, rzucił ze siebie suknie i siadł pisać obronę. Ale uleciało już z myśli, to, co byloby tu siłą skuteczną; głowa bolała go szalenie, cierpiał niewymownie nad złamaniem słowa danego sobie i ojcu, że nigdy kart do rąk nie weźmie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Podczaszanka.

Obrazy z przeszłości

3) napisał

Mieczysław Krzywosąd-Kepieński.

Twarz ogorzała od słońca południa jaśniała energią i męstwem, a pomimo że cierpienia tulącego życia przyprosiły włosy przedwczesną siwizną, to szlachetne rysy nie straciły na owym wdzięku, właściwym czerstwemu mężczyźnie; owszem rysy te, jakby z marmuru wykute, zachowały klasyczną linię profilu, a cała twarz ożywiona dużym okiem błękitnym, w którym się przebiegała pogoda i zapal obok hartu ducha, łagodność obok niezwykłej energii, podobną była do tych rzeźbionych kamei, jakie nam zostawiły wieki starożytne.

Dodajmy do tego, że tę marsową postać otaczała aureola sławy, geniuszu i męstwa; dodajmy ówczesny entuzjazm dla walczącego twórcy legionów; przedstawmy sobie zapal, jaki ówczesnie przenikał powietrze: a nie będziemy się dziwić, że oczy wszystkich, tak kobiet, jak mężczyzn, zwracały się ku niemu i patrzyły z nieopisanym zachwytem na wielkiego wodza.

Po odbytych ceremoniach zabrzmiała muzyka polonczem Ogińskiego. — General Henryk poprowadził w pierwszą parę JW. wojewodzinę Działyńską z Konarzewa; za nim ciągnął liczny szereg tancerzy, odczo się wijąc różnobarwną wstęgą pomiędzy środkowymi kolumnami broni, splatając się i rozplatając w kapryśne girlandy, lśniące od świetnych mundurów, wspaniałych, kontuszów, klejnotów i toalet damskich. Po »odbijaniem« i wszystkich ówczesnie używanych zwrotach, zakończono taniec, a generał, odprowadziwszy wojewodzinę Działyńską na jej honorowe miejsce, przechadzał się po sali, rozmawiając swobodnie i wesoło z damami i z licznie zgromadzonym obywatelstwem prowincyi. W czasie tego, przystąpił do generała młody jeszcze, niskiego wzrostu, mężczyzna, w mundurze kapitana kawalerii francuskiej, z oznakami adjutanta samego cesarza. Twarz młodego oficera, piękna i marsowa, jaśniała wyrazem energii i męstwa; dzisiaj jednak spłynęła na nią jakąś rzewna miękkość, jakiś smętny odcień głębokiego smutku.

— Generale — przemówił wzruszony — przychodzę z prośbą, której treść, jakkolwiek nie idzie ode mnie bezpośrednio, ale pośrednio bardzo rękę z serdecznym uściskiem — wiesz, że nie odmawiam nikomu pomocy w granicach możliwości, a tem więcej tobie.

— Rzec samą przedstawi moja krewna, która mi zaleciła prosić generała, byś jej się pozwolił przedstawić i czeka na twą, generale, aprobacyę.

— Dziwny jesteś, mój Dezydery — przerwał wesoło Dąbrowski — przecież twoja krewna nie żołnierz świeżo zaciągnięty, by mi się przedstawiała jak rekrut w szeregu: gdzież jest i czego żąda? Proszę cię, zaprowadź mnie do niej, niech się jej przedstawię.

Oficerom rozmawiającym z Dąbrowskim był nie kto inny, jeno Dezydery Chłapowski, przed kilku laty zmarły patriarchy Księstwa Poznańskiego i właściciel Turwi, jeden z tych ludzi, którym życie całe zbiegło na poświęceniu dla kraju, miłości ziemi ojczystej i wypełnianiu obywatelskich obowiązków. W czasie, o którym mówimy, był Dezydery Chłapowski adjutantem cesarza Napoleona, jednym z najwaleczniejszych oficerów armii polskiej i francuskiej; szybko awansując, został pułkownikiem.

Postanowiliśmy więc choć kilku słowy oddać tutaj hold należny osobistości tak pięknej i zacnej, jaką był śp. generał Dezydery Chłapowski. Godniejsze pióro skreśliło już życie i działalność Chłapowskiego*), my tylko wspomnimy, że było to życie pełne przejść i bólów, zawodów moralnych i kłesk materyalnych i nigdy nie znużonej pracy na niwie społecznej. Za młodu walczący żołnierz, później dzielny generał, głęboko religijny syn Kościoła, po ciężkich przeciściach poświęcił się zawodowi rolniczemu, przykładem swych ojców, zamieniając oręż na lemiesz; a jakim był obywatel, jakim gospodarzem wśród najniekorzystniejszych warunków, wiadomo podobno wszystkim na całym kraju naszego obszaru: bo któż z nas kiedy nie słyszał o Turwi? Lecz wróćmy do rzeczy.

Wziąwszy więc pod rękę adjutanta Chłapowskiego, szedł z nim Dąbrowski w stronę sali, gdzie się skupiło grono pięknych dziewcząt i wijących się między nimi oficerów polskich. Między damami jaśniała pięknnością rysów, owianych czarującym wdziękiem, młodziutka ośmnastoletnia podczaszanka, która, widząc zbliżającego się generała z jej bratem stryjecznym, wystąpiła śmiało z grona otaczających ją pań i podążyła na spotkanie wodza legionów. Wysoka powiewna jej postać odznaczała się szczególną dystynkcyą, właściwą osobom należącym do sfer arystokratycznych; smutek, jaki jej oblicze owiał, podnosił urok i dodawał wdzięku nadobnej twarzyczce, którą zdobyły duże czarne oczy, błyszczące zapalem i determinacyą. — Dąbrowski przystanął, olśniony pięknnością petentki.

— Generale, — rzekła podczaszanka, przystępując do wodza i oddając ukłon — jestem Chłapowska, córka Ksawerego, podczaszego tej ziemi, z którym przybyłam tutaj, aby ci złożyć hold, jakim cię ogół otacza. Prócz tego jednak, mam do ciebie, panie generale, prośbę, prośbę gorącą o pomoc i ratunek w naszym rodzinnem nieszczęściu. Oni, rodzice moi, stracili syna, ja — brata.

— Czemże ja mogę pomódz w tem nieszczęściu? — przerwał uprzejmie Dąbrowski — zechciej mi asińdzka bliżej wytłómaczyć. Czyż, broń Boże, brat asińdzki... nie dokończył generał pytania, spoglądając smutno.

— Zginął? — chcesz powiedzieć panie generale — dopełniła myśli podczaszanka — nie, dzięki Bogu, tak źle nie jest, chociaż dla nas, może na długo stracony.

— Na śmierć nie miałbym żadnego lekarstwa, odparł Dąbrowski z uśmiechem — więc próżno myśleć o takim nieszczęściu; ale może brat Asińki ranny, może się dostał do niewoli pruskiej?

— Odgadłeś, generale. Czy ranny? — nie wiemy, ale właśnie wczoraj doszła nas wiadomość, że w bitwie pod Auerstaedt wzięli go Prusacy. Udajemy się więc do ciebie, panie generale, z prośbą, abys swoim wpływem zechciał wyjednać jego uwolnienie. Kuzynek Dezydery — tu wskazała podczaszanka na milczącego dotąd kapitana — dał mi tę radę, nie znajdując słów dla twojej, generale, dobroci i szlachetności: czyż mogę na nie liczyć; czyż nas nie opuścisz, panie generale? — dodała podnosząc błagalnie oczy, w których błyszczały lzy naksztalt brylantów.

— Bez wątpienia, pani — odrzekł generał zewspółczuciem — obowiązkiem jest wszystkich, których obdarzyła Opatrzność podobnem memu stanowiskiem, nie tylko prowadzić żołnierza do bitwy, ale zajmować się nieszczęśliwymi, którzy jej ofiarą padli. Proszę wierzyć, że zajmę się sprawą pani, jakby moją własną, zrobię, co w mojej mocy, a sądzę, że moje starania nie będą bez skutku. Przy pierwszej wymianie jeńców, która musi niebawem nastąpić, a może i wcześniej, będę się starał uwolnić pana Stanisława,

i jestem prawie pewny, że niedługo odstawię osobiście podczaszemu syna, a asińdźce brata.

— Dziękuję, generale, z całego serca; z wdzięcznością bez granic, śpieszę pocieszyć i dodać otuchy znękanemu ojcu, ufna w pana generała przyrzeczenie.

— Darujesz asińdźka — przerwał Dąbrowski dobywając z pod munduru pularesu z wojskowemi notatkami — że jej będą prosił dokładną datę. My-bo wojskowi przyzwyczajeniśmy do ścisłości. Aby mógł działać z pomyslnym i pewnym skutkiem, potrzebuję koniecznie szczegółów, tyjących się pana podczaszycy. — I podał rękę pięknej podczaszance, która rozpromieniona nadzieją, szczęśliwa, że idzie, wsparta na tem potężnem ramieniu, które tylokrotnie pokonało wroga, a dzisiaj ma jej brata przywieść z niewoli, ożywiła się bardzo, a nawet na malinowych, ślicznie wykrojonych ustach zabląkał się przelotnie czarujący uśmiech.

— Usiądźmy tutaj — rzekł Dąbrowski, przysuwając krzesła — i proszę odpowiadać na moje pytania. — To mówiąc, począł ołówkiem notować naprędce. — Imię brata pani?

— Stanisław Chłapowski — pisał generał powtarzając słowa — pułk, w którym służył podczaszyc, czy jest asińdźce wiadomy?

— Tak jest, generale: pułk szaszców gwardyi, szef szwadronu Michaud; brat mój był oficerem ordonansowym marszałka Davousta.

— Tam, do kafa! — przerwał Dąbrowski z uśmiechem — asińdźka dyktujesz, jakbyś sama była oficerem, a nie jego siostrą — a później dodał z powagą i pewnością siebie: — Bądźcie państwo zupełnie spokojni, wszystko się skończy szczęśliwie; zaręczam, że niedługo powitać pana Stanisława. Jeszcze jedno, a byłbym zapomniał, — ile lat ma podczaszyc?

— Dwadzieścia trzy, generale.

— Skończyłem — rzekł Dąbrowski, powstając i podając podczaszance rękę — pana Stanisława zapisałem w pularesie, a asińdźkę w sercu.*)

Jak się to stało, że panna Barbara Chłapowska jeszcze długo została na balu i cały czas spędziła w towarzystwie generała, nie wiemy, ani nie będziemy dochodzić; to jednak pewna, że opuszczając salę, była nad wyraz wzruszoną, że w dziewiczym sercu uczuła zmianę nieokreśloną i nieznaną dotąd, a główkę zajęty poważniejsze myśli, których treścią był jakiś rodzaj uwielbienia dla wielkiego wódza. I w Dąbrowskiego umyśle musiała stać się pewna zmiana, czy przeobrażenie, bo zwykle milczący, dzisiaj był rozpromieniony i niezwykajnie wesół, widać, że uroczą podczaszanka pozostawiło w sercu wodza niezatarte ślady, że czuł się ku niej pociągniętem niepojętą siłą, którą zazwyczaj łącznością duszy nazywamy. Dąbrowski stracił był pierwszą małżonkę, Krystynę von Rackel, w roku 1802, od lat więc czterech był wdowcem, a i nierwej niedługo zażywał rodzinnego szczęścia, pedząc obozowe życie w ciągłych walkach i znojach służby wojennej. Dzisiaj, pod wpływem uroczych oczu podczaszanki, jak gdyby odżył na nowo świeżością uczucia; roztopiło się na kształt wosku serce wojownika, opanowała je jakaś nowa siła, która generałowi przypominała uczucia młodości. Któż wie? Może już wtenczas, na tym balu zamarzył wódz legionów o cichem wiejskiem zaciszu, otoczonym dębów i lip wieńcem, pośród szmaragdów murawy, podobnem do owego sfarostwieckiego dworu w Pierzchowcu nad Rażą, gdzie po raz pierwszy powitał świat Boży. Któż wie? może już wtenczas zamarzył o dozgonnej ukochanej towarzysze, o życiu »sielskiem, anielskiem«, gdzie obok kochającej małżonki, skloniłby głowę spokojną od szczeku oręza,

gdzieby owa wybrana istota słodziła ciężkie przejścia przeszłości i trudy wojenne?... Być może, że już wtenczas na balu, powziął generał jakieś postanowienie na przyszłość, aby chociaż w późnych latach zaznać rodzinnego szczęścia; o tem jednak milczy źródło, z którego powyższe szczegóły czerpiemy; domyślać się tylko wolno, że dzień 5-go listopada 1806 roku był zapisany na zawsze w sercach naszej pary, podczaszanki Barbary i generała Henryka, który wyszedłszy z sali balowej, nie dał się na spoczynek, ale przywołał młodego Grabowskiego, długo mu dyktował depeszę i listy, z których dwa natychmiast wyprowadzono kurjerem do obozu armii pruskiej pod Toruniem, gdzie komenderował przyjaciel i towarzyszy młodości Dąbrowskiego, pruski generał piechoty nazwiskiem Lestocq.

Nie sprzedajmy jednak wypadków.

III.

Dąbrowski nie był przyzwyczajony być długo bezczynnym: to też jeszcze nie przeminiły chwile uniesienia i entuzjizmu, kiedy się rzucił z całą energią do organizowania korpusu posiłkowego. Wspólnie z Wybickim pracowali nieznużenie, wydając odezwy, zachęcające do zaciągów i ofiar, powołujące znamienitych obywateli do współdziałania w pracy przekształcenia władz krajowych, administracji, również jak gromadzenia żywności dla zbliżającej się armii Napoleona. Niezrównany zapał, jaki opanował ludność dawnej Wielkopolski i część wolnego od wojsk pruskich Mazowsza po przybyciu Dąbrowskiego i wyrzuceniu pozostałych wojsk nieprzyjacielskich, przez ruchawki Skórzewskiego, pułkownika Dąbrowskiego (herbu Rawicz) i Lipskiego, za granicę Księstwa, ten zapał powtarzam, jaki przeniknął wszystkie warstwy ludności, był wyższym nad wszelkie opisy. Co dotąd chroniło się na obczyźnie pod skrwawione rozdarte kulami sztandary, teraz unosiło się nad krajem. Jak duch Boży nad chaosem w pierwszym dniu stworzenia i brzmiało potężnie na całym obszarze Wielkopolski i Mazowsza, a każda zwrotka, każdy wiersz nawet, tworzył szwadrony, pułki, dyszące chęcią oporu i walki. Nie dziw więc, że w takich chwilach podniosłego nastroju, dążyli rażno ochotnicy pod posiłkowe sztandary; że Dąbrowski miał dużo do pracy, a na ręce pana Celestyna Sokołnickiego, którego generał mianował komisarzem do zbierania składek, płynęły hojne ofiary, nie tylko z pieniędzy, ale i z najdroższych pamiątek rodzinnych, klejnotów, pereł, lub sreber stolowych i innych przedmiotów wartościowych. Prócz gotówki i darów, wszystkie gościńce zapchane były czterokonnymi wozami, ciągnącymi za sobą nieprzerwanie olbrzymim szeregiem, który zdawało się, że się nigdy nie zakończy. Były to dostawy zboża, owsa, paszy i słomy dla koni, chleba, sukna na mundury, transporty koni, bydła, jakie ofiarność obywatelska stawiała do rozporządzenia generałowi Dąbrowskiemu i Wybickiemu, w celu przyśpieszenia organizacji posiłkowego korpusu, tudzież przygotowania zapasowych magazynów dla nadchodzących wojsk cesarza Napoleona. Na którego powitanie wyjechała do Berlina deputacya z Księstwa Poznańskiego, pod przewodnictwem zacnego wojewody Działyńskiego, którą, prócz niego, składali: Biernacki, generał kawaleryi, Suchorzewski, generał piechoty, Walichnowski, Umiński i Lipski.

Entuzjizm obywateli poznańskich doszedł do kulminacyjnego punktu, kiedy Dąbrowski otrzymał od Działyńskiego pomyslnie wiadomości w liście z d. 19 listopada, który w licznych odpisach krążył ówczesnie po kraju. Jako rzecz mało znaną, przytaczamy ten historyczny dokument dosłownie, o ile na to pozwalają niezależne od piszącego warunki;

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Turecka artyleria w drodze ku Suezkiemu kanałowi

Zdobycie Konstantynopola przez Turków w 1453 r.

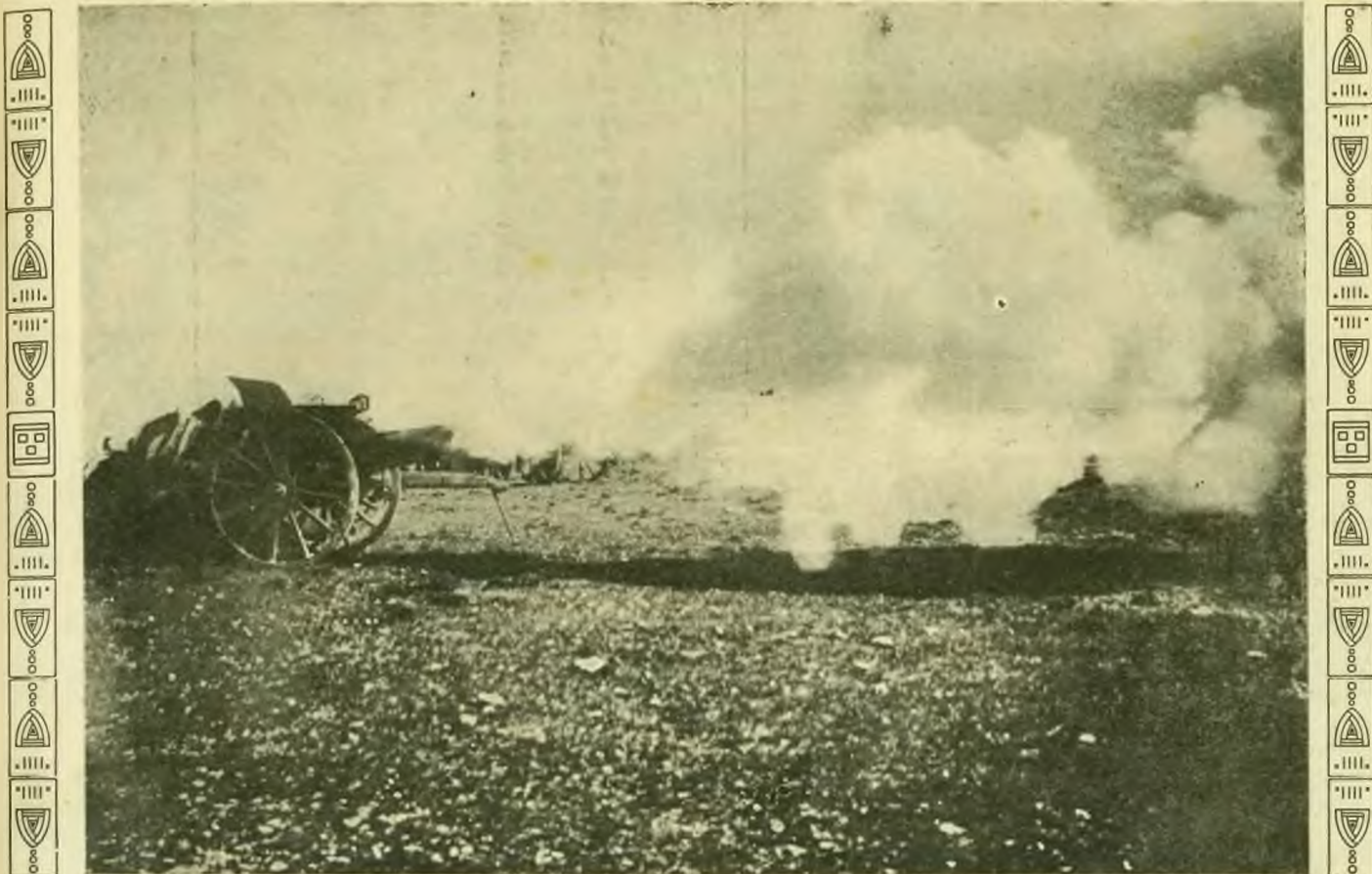
Na pierwszych już niemal kartach księgi, w której Historia przekazuje Wszechwiecznej Prawdzie ku ocenie, a ludom ku pamięci i nauce zdarzenia dnia każdego widać ślady krwi ludzkiej, przelanej o posiadanie centralnego punktu między Azją i Europą, starego Bizancjum — Nowej Romy — Konstantynopola. Trzy razy oblegali go swego czasu Hellenowie, trzy razy rzymscy Cesarze, cztery razy współzawodnicy domowi, bizantyńscy Kommeni i Paleologowie, dwukrotnie kusili się oń Bułgarzy, po razu Persowie, Awarowie, ruscy Normani i doża wenecki Dandolo, siedem razy arabscy kalifowie. Siedmiokrotnie też w walkach tych pyszne miasto uległo. Zdobywali je kolejno: Pausanias, Alcybiades, Septimus Servus, Constantinus, Alexius, Dandolo i Michał Paleolog. Obecnie u zmiernych wieków średnich stawało się coraz bardziej jasnym, że prę-

dziej, później, dostać się musi miasto w ręce tych, co zawładnęli wszystkimi obszarami dawnego jego dominium, w ręce rządzących z Hadrianopola, tureckich sultanów. Ci zaś dobijali się o nie powolnie, lecz wytrwale. Już Bajazet stał dwukrotnie pod murami miasta. Po nim próbowali szczęścia Musa i Murad II., ojciec, siedzącego od lutego 1451 roku na tronie Seldżuków, Mohameda II.

Gorączkowe przygotowania, podjęte przez cich w pierwszych już niemal miesiącach rządów, świadczyły, że nowy władca zdecydowany był skończyć wreszcie za wszelką cenę z miastem. Tysiące tedy robotników wznosiło na jego rozkaz nad Bosforem, naprzeciw, leżącego na azyjskim brzegu, Bajazetowego zamku Kischissar, w najwyższym miejscu, tam, gdzie niegdyś Androkles postawił słynny most, zastępcom Daryusza, potężne bastiony, panu-



Transport jeńców rosyjskich. — Transport w polu.



Turecka artyleria przy pracy nad kanałem Suezkim.

jące na całą cieśniną. Równocześnie mistrz Orban, z Węgier rodem, lał w Adyanopolu olbrzymie działa, mające skruszyć mury stolicy. Jedno z nich potworne swym ogromem (o kalibrze przeszło 110 cm.) wstawiło się szczególnie, ciskając ku murom kule kamienne o wadze 12 centnarów.

Jakkolwiek formalnie zaczęła się wojna już w czerwcu 1452 r., rozpoczął Mohamed faktycznie oblężenie dopiero w kwietniu 1453 r., sprowadziwszy pod mury miasta 250 tysięcy wojowników. A miasto, kryjąc krocie tuszczy za murami, nie wiele miało obrońców na murach. Nadejście wszelkich posiłków z Grecji południowej, od rządzących tam braci cesarskich, uniemożliwił beglerbeg Tessalii, Turachan, wkroczywszy ze znacznymi siłami do Peloponezu. Otoczone miasto zdobyło się ledwie na 6 tysięcy obrońców, obok których stańło na murach 3 tysiące cudzoziemców, głównie synów Wenecyi i Genui, broniących narówni z Grekami swych spraw najżywoźniejszych, ekonomicznego i handlowego panowania na wodach Euksynu, Bosporu, Propontydy, Hellespontu itd. Poza tą pomocą, podyktowaną względami materialnymi, nie równie potężniejszej wyglądał cesarz, siódmy i ostatni z Paleologów, Konstantyn Dragoses, od czynników moralnych, od tak wówczas rzekomo jeszcze silnej idei solidarności świata chrześcijańskiego. Wszakżeż dla tego to, a nie innego celu, złożył cesarz niedawno, bo w grudniu 1452 r., przed papieskim legatem wyznanie jedności wiary i trwał przy niem, aczkolwiek patriarchy Gennadios i ciemny gmin, podburzony przez zaciekłych mnichów, uważał wyznawców jedności za zdrajców i hojkołował obłożoną przez patriarchy kłatwą, świecąca pustkami, Hagię Sofię.

Ale wszelkie rachuby cesarskie zawiodły, wszelkie nadzieje były złudne. Świat chrześcijański głuchy był na

wszelkie wołanie tak, że jedynym reprezentantem jego w tych ciężkich chwilach ginącego miasta był metropolita ja-giellońskiej Rusi, legat papieski, kardynał Izydor, broniący mieniem swem i krwią bytu Romy nowej i honoru starej. Obok niego stańło na murach miasta u głównych bram i wież jedenastu dowódców, w ich liczbie tylko dwu Greków. Reszta to kupcy-żołnierze i konsulowie włoscy i hiszpańscy, na ich czele najprzedniejszy, nieustraszonej odwagi i zapobiegliwości Genueńczyk Giovanni Giustiniani. Właściwą duszą obrony był jednak cesarz, Konstantyn, na którego barki opadł nie tylko obowiązek kontroli nad całą akcją, ale także ciężar godzenia, kłócących się ustawicznie ze sobą poszczególnych dowódców.

Wśród takich warunków przeciągało się, rozpoczęte 6. kwietnia oblężenie już ósmy tydzień. Co prawda położenie miasta pogorszyło się w tym czasie znacznie, zwłaszcza od chwili, gdy Turkom udało się wprowadzić do portu kilkadziesiąt okrętów i zaatakować w ten sposób Greków od strony morza. Mimo to, mimo ustawicznego bombardowania murów z czternastu bateryi, nie mogli Turcy oczekiwać rychłego otwarcia sobie drogi przez wyloty do wnętrza stolicy. O upadku Konstantynopola zdecydować miał generalny szturm, naznaczony przez sultana na 29. maja. Wnet po północy dnia tego ruszyło 100 tysięcy wojowników ku murom. W półmroku rozgorzała na całej długości murów zażarta walka. Budzący się świt odsłaniał jednak coraz większą nawałę napastników, coraz szczuplejsze grono obrońców. Mimo to obrona nie słabła przez kilka godzin ani na chwilę. Dzielnie trzymali się i walczyli cesarz i Giustiniani u bramy głównej, św. Romana, na którą, jak i na sąsiednią, Adrianopolską, obsadzoną przez Genueńczyków pod Paolem i Antonim Bochondiardi skierowane były najwziętniejsze ataki. Na lewo

od nich pilnował bramy Kaligarii kardynał Izydor, wspierany przez konsula weneckiego, Minoto, strzegącego bramy drewnianej, Ksyloporty i pałaców cesarskich Blacherny. Na murach wzdłuż portu czuwali wielki admirał Notaros i Gabriel Trevisano. Wenecyanin Contareno i konsul hiszpański Don Pedro Giuliani osłaniali bramę Złotą, a obok na murach i basztlach przyległej Selimbrii walczone pod wodzą Genuńczyka Cataneo. Stąd aż do bramy św. Romana zamykały okrąg murów oddziały Teofila Paleologa.

Ale mimo wszelkich wysiłków było już w pierwszych porannych godzinach, zwłaszcza od chwili, gdy raniony Giustiniani opuścił mury, widocznym, że się dopełniły losy miasta i państwa rzymskiego zarazem. Coraz częściej udawało się Turkom wdrzeć tu i ówdzie na mury, aż wreszcie na dwu naraz punktach, przez Ksyloportę i bramę św. Romana, wtargnęli za mury. Pierzchnął pod ich naciskiem liczny, przerzedzony zastęp obrońców, pozostał tylko cesarz, zamykając swą śmiercią z bronią w rękę chlubnie poczet rzymskich Augustów.

W południe wjechał do opanowanego już w zupełności miasta Mohamed II. Jechał prosto do głównej świętości miasta, do św. Zofii, u ołtarzy której kończyli zazwyczaj chrześc. Imperatorowie Nowej Romy swe wjazdy tryumfalne. I Mohamed tu złożył dzięki Bogu za zwycięstwo. Ukłakwszy na głównym ołtarzu święco obwołanego pierwszego sultńskiego meczetu, bił Mohamed czołem Allahowi, a otaczające go gwardycy Segbanów, czyli t. zw. dozorców psów, najpewniejszych z janczarskich oddziałów, powtarzały za nim tysięcznymi głosy: — La ilah illallah... Niema Boga jako Bóg, którego prorokiem Mahomet...

A z zewnątrz patrzyła na tę scenę zatknięta na tryumfalnym imperatorów monumentie głowa ostatniego Cezara, przyglądała się tym, aż nazbyt wymownym, świadectwom, zainykającym księgę dziejów starych, otwierającym nową.

I tak po tysiąc stu dwudziestu pięciu latach świetności i blasku upadło w dzień św. Teodozyi, dnia 29. maja 1453 roku stare Bizancyum, miasto Konstantyna, Nowy Rzym, miasto na siedmiu wzgórzach, zwane przez Greków Antusa — kwitnące, przez Arabów Farruk — rozgraniczające (Azję od Europy) słowiański gród cesarów — Carogród, by stać się odtąd na długie lata pełnią Islamu — Islambol, matką świata — Ummedinja. Upadło, mimo wszelkich usiłowań, przyjscia mu z pomocą, mimo wysiłków, wśród których nie na ostatniem zaiste miejscu zapisuje Historia imiona rycerzy polskich z pod Warny z 20-letnim królem bohaterem na czele.

Dr. Z. Kolankowski.

Humor.

Pan Jan. Słuchajno, Waluś, pójdziesz do pana Stanisława i powiesz mu, żeby pożyczył fraka. Jeżeli się będzie pytał dla kogo — to powiedz, że dla mnie, rozumiesz?

Waluś. Rozumiem...

*

Pan Stanisław. A co to?

Waluś. Przyszedłem pożyczyć fraka.

Pan Stanisław. Dla kogo?

Waluś. A no, pan Jan powiedział, że to dla mnie.

Pan Stanisław. Powiedz panu Janowi, że dla takich chamów nie mam fraków!

*

Pan Jan. No cóż niema fraka?... Cóż ci powiedział pan Stanisław?

Waluś. Powiedział, że dla takich chamów, to niema fraków!...

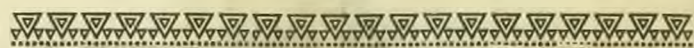
*

Od tego czasu Jaś i Staś przy spotkaniu na ulicy nie kłaniają się sobie.

*

A. Wystaw sobie, że mnie wczoraj sędzia nazwał na ulicy starym błaznem.

B. A fe! jaki źle wychowany człowiek — nie mógł to w pokoju powiedzieć.



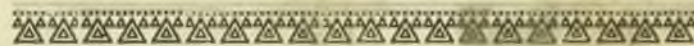
Każdy Legionista w polu walki

otrzyma bezpłatnie
przez jeden miesiąc

Ilustr. Przegląd Tygodniowy

Zgłoszenia:

Morawska-Ostawa, ulica Johanny'ego 1. 5.



Inserować

należy tylko w tych pismach, które ze względu na ich wielki nakład, przynoszą korzystny rezultat. Jeżeli się inseruje

W ILUSTROWANYM PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM

wychodzącym w 14.000 egz., apeluje się iemsamem do największego okręgu przemysłowego. Nie

potrzeba więc

ogłaszać w innych pismach i narażać się na niepotrzebne wydatki, gdyż pismo naszego stoi tak pod względem nakładu, jakoteż i wyposażenia na pierwszym miejscu. Wystarczy zainserować

raz jeden tylko aby się przekonać o korzystnym rezultacie

i w przyszłości stale u nas inserować. Numera próbne, oraz obliczenia załatwia się bezzwłocznie.